

TO BYŁ

NASZ

DOM

MARCUS KLIEWER



**TO BYŁ
NASZ
DOM**

MARCUS KIEWER

**TO BYŁ
NASZ
DOM**

TŁUMACZENIE ALEKSANDRA ŻAK



OTWARTE

KRAKÓW 2025

Tytuł oryginału: *We Used to Live Here*

Copyright © 2024 by Marcus Kliewer

First Emily Bestler Books / Atria Books hardcover edition June 2024.
EMILY BESTLER BOOKS / ATRIA BOOKS and colophon
are trademarks of Simon & Schuster, LLC

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2025

Copyright © for the translation by Aleksandra Żak

Opieka wydawnicza: Alicja Konieczka

Opieka redakcyjna: Anna Malocha, Dagmara Malysza

Przyjęcie tłumaczenia: Aleksandra Szpak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Mapa: Alexis Minieri

Adiustacja: Joanna Mika

Korekta: Joanna Mika, Aneta Wieczorek

Łamanie: Daniel Malak

Projekt okładki: Claire Sullivan

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania:
Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce: © Alicia Bock / Trevillion Images

Fotografia autora: Brian Van Wyk

ISBN 978-83-8135-454-7

Ta książka to fikcja literacka. Wszelkie odniesienia do wydarzeń historycznych, prawdziwych osób czy miejsc stanowią fikcję literacką. Pozostałe imiona i nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są owocem wyobraźni autora i wszelkie podobieństwa do prawdziwych wydarzeń, miejsc i postaci, żyjących lub zmarłych, są całkowicie przypadkowe.



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków.
Wydanie I, 2025. Druk: WZDZ Drukarnia Lega

Czytelnikom z czasów No Sleep

PLAN PARTERU

M. N. O. A. E.

klatka schodowa prowadzi do piwnicy
rumuńskiego szpitala psychiatrycznego
trzeba uważać, by nie dać się
zauważyć pracownikom (potem
trudno uciec)

28

- 1 Camera cazanelor
- 2 Camera tehnica
- 3 Dulap de lenjerie
- 4 Hol
- 5 Laborator
- 6 Scarara
- 7 Spalator
- 8 Toaleta
- 9 Vestiar
- 10 Vestiar

w baker city w miesiacach
od lutego do lipca nazywaz sie
Kilroy Maxwell wright
zachowaj sie odpowiednio.

113

Miejsca

- 1 Dawna stozdba lokalnych wzadz
 - 2 Kosciol św. Pawla
 - 3 Hotel Ulster
 - 4 Gimnazj
 - 5 Dom pod Kasztanami
 - 6 Klub (powitch
 - 7 Restaur
 - 8 Kosciol
- Róg ulic Nichol
sw. Pawla
Róg ulic Nichol
2 (fontanna)
Róg ulic Brisbane
(Motors)
Róg ulic East i
Róg ulic





MAPA STAREGO DOMU



PRZYBYSZE

Nagle pojawili się w drzwiach w mroźny piątkowy wieczór.

Obcy ludzie na progu domu Eve Palmer wydawali się nieszkodliwi. Ale ostrożna Eve spojrzała ukradkiem przez żaluzje, zastanawiając się, czy otworzyć. To była pięcioosobowa rodzina z klasy średniej, odziana w grube zimowe kurtki. Rodzice byli na oko po czterdziestce. Ojciec – wysoki, z szerokimi ramionami i kanciastą szczęką. Matka – drobna blondynka o chłodnych błękitnych oczach i ze srebrnym krzyżykiem na szyi. Między nimi trójka dzieci ustawiona według wzrostu – dziewczynka i dwóch chłopców. Wyglądali na takich, którzy urządzają sobie rodzinne wyjście do restauracji co niedziela po mszy. Eve dość dobrze знаła ten typ.

Uznawszy, że nie stanowią poważnego zagrożenia, otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, panienko. – Ojciec rodziny się uśmiechnął. – Przepraszamy za najście tak późną porą. Ja... wychowałem się w tym domu...

– Aha, eee, ojej... – zająknęła się Eve.

– Przejeżdżaliśmy obok i chcieliśmy wstąpić.

Czy on oczekiwał, że Eve zaprosi ich do środka? Nie paliła się do tego ani trochę. Jej dziewczyna, Charlie, miała za chwilę wrócić, zaplanowały już wieczór – chciały dojeść wczorajszego kurczaka i na rauszu zagrać w Scrabble. Snująca się po domu nieznajoma rodzinka niezbyt pasowała do tego planu.

– Mój tata się tu wychował – oświadczyła z dumą dziewczynka.

Była najmłodsza z trójki – miała nie więcej niż siedem lat. Ścisła w dłoni jaskrawozielony długopis i notes z obrazkiem z bajki *Śladem Blue*.

– Przecież przed chwilą to powiedział – parsknął parę lat starszy chłopiec. Był wysoki jak na swój wiek, miał chłodne niebieskie oczy i bardzo jasne włosy, jak matka.

Ojciec rodziny, ignorując ich, mówił dalej.

– Wiem, że panią zaskoczyliśmy, ale liczyłem, że mógłbym oprowadzić dzieciaki. Pokazać im, gdzie się wychował tata.

Eve się zawahała.

– W środku?

– Tylko się szybko rozejrzemy – zapewnił mężczyzna. – O ile oczywiście nie ma pani nic przeciwko. Wystarczy nam dziesięć, piętnaście minut. Nie więcej.

Eve, myśląc nad odpowiedzią, wbiła wzrok w przestrzeń.

W lesie wokół rozlegały się trzaski i jęki, lekki wiatr od gór przemykał przez ogród i muskał jej twarz. To była zimna noc – taki mróz przenikał przez skórę, przez chwilę pozostawał uśpiony, a potem zaczynał drapać po kościach jak paznokcie po szkolnej tablicy. Zima już czaiła się w mroku, choć nie spadł jeszcze pierwszy śnieg.

Właśnie wtedy coś – a właściwie brak czegoś – przyciągnęło uwagę Eve. Nie było żadnego pojazdu. Przy starej, chylącej się szopie ani przy granicy lasu nie stał żaden samochód. Ani przy wnęce, gdzie oszroniony trawnik stykał się ze żwirem. Zerknęła na długi, wijący się podjazd. Nic. To było co najmniej dziwne, zwłaszcza że panował mróz, a dom stał niemal na końcu świata. W jej umyśle pojawił się dziwaczny obraz: rodzina trzymająca się za ręce i spacerująca wśród drzew o zmroku.

– Gdzie państwa samochód? – zapytała Eve.

– Słucham?

– Samochód – powtórzyła. – Nie widzę go.

– Aaa... – odparł ojciec rodziny. – Tam dalej, na drodze.

Eve zamrugła, nieprzekonana.

– Próbowaliśmy podjechać – wyjaśnił. – Jest za stromo, za dużo lodu. Więc po prostu podeszliśmy pieszo.

– Aha, to niezły spacer.

Prawie pięć minut pieszo.

Gdy ojciec odpowiadał, coś innego przykuło uwagę Eve: jego kraciasty płaszcz był przybrudzony. W chwilach stresu często rzucały jej się w oczy mało istotne detale. Nazywała to swoim „wadliwym pajęczym zmysłem”. Czasem jakiś paproch leżący na środku pomieszczenia nagle przyciągał jej wzrok. Kap, kap – kapiący kran stawał się głośniejszy niż głos rozmówcy tuż obok. Eve trudno było dokładnie wyjaśnić tę przypadłość. Umiała ją opisać tylko tak: „Wyobraź sobie, że kilka razy dziennie zupełnie nagle nie potrafisz ignorować niczego, co cię otacza”. Nie trzeba dodawać, że nie brylowała na imprezach.

– Możemy? – Do jej świadomości wkradł się głos mężczyzny.

Przekrzywiła głowę. Zadał pytanie, którego nie usłyszała.

– Nie będziemy mieli pani za złe – dodał – jeśli nie zgodzi się pani, żebyśmy weszli. Nie ma przymusu...

Eve parsknęła nerwowym śmiechem.

– Ach, przepraszam, sa... sama nie wiem – zająknęła się. – Moja druga połówka i ja jesteśmy w trakcie przeprowadzki i... tylko zadzwonię i zapytam?

– Nie ma problemu – powiedział.

Oczywiście przystosowany społecznie człowiek po prostu by odmówił, ale autodestrukcyjna skłonność do zadowalania innych była kolejnym z licznych drobnych dziwactw Eve. Potwornie bała się kogokolwiek rozczarować, nawet zupełnie obcych ludzi albo kogoś, kogo nie lubiła. Dawno już wynalazła sztuczkę pozwalającą obejść ten problem. Nazywała ją kartą „zapytam Charlie”. Hasło to stało się jej mantrą pozwalającą uniknąć konfrontacji. Eve nigdy nie musiała nikomu odmawiać, jeśli jej dziewczyna robiła to za nią. Z początku Charlie nie miała problemu z odprawianiem ludzi – nawet jej się to podobało. Ale po jakimś czasie zaczęła zachęcać Eve do większej asertywności.

„Dobrowolny kontakt z tym, czego się boisz, to najlepszy sposób na przezwyciężenie strachu”, powtarzała często Charlie. Eve to rozumiała i się starała, ale...

– Ja... Zaraz wracam.

Zaczęła zamykać drzwi, kiedy mężczyzna odezwał się:

– Przepraszam, możemy poczekać w holu? Trochę tu zimno.

Eve otworzyła usta i znów się zawahała.

– Obiecujemy, że nie podpalimy domu – zażartował.

Usiłowała się uśmiechnąć.

– T... tak, w porządku.

– Dziękuję, naprawdę. Zostaniemy tuż przy drzwiach.

Gestem wskazał pozostałym, by weszli, a następnie zabronił chłopcom czegokolwiek dotykać. Eve patrzyła, jak

obcy ludzie kolejno wchodzą do jej domu. Gdzieś w głębi jej umysłu, w podświadomości, rozbrzmiał sygnał alarmowy. Po głowie kołatały się skrawki opowieści. Opowieści o obcych przychodzących do domów, twierdzących, że tam mieszkali, i chcących się rozejrzeć. A gdy czujność niczego niepodważających ofiar zostawała uśpiona, działo się najgorsze – kradzież, tortury, morderstwa. Tyle że... nigdy nie słyszała, by ktoś to robił, udając całą rodzinę, z dziećmi i tak dalej... No ale...

Zawsze musi być ten pierwszy raz, prawda?

Odezwał się głos z najgłębszego, najmroczniejszego zakamarka umysłu Eve. Był niemal słyszalny, a towarzyszył jej jeszcze dłużej niż wadliwy pajęczy zmysł. Znała doskonale owego wewnętrznego czarnowidza, twierdzącego, że jeśli coś może pójść źle, to na pewno pójdzie źle, nadała mu nawet twarz i imię: Mo. Ponad dziesięć lat temu terapeuta w dobrej wierze zasugerował, że personifikacja potwornego głosu go rozbroi. „Niech to będzie coś nieszkodliwego, znajomego”, powiedział. Eve więc wyobraziła sobie swoją ulubioną, dawno zaginioną zabawkę z dzieciństwa, Mo.

Mo był małpką o rozbieganych oczkach, z cymbałkami. Nie był to jednak znany większości dzieci Wesoly Szympansik, ale tania podróbka tamtej kultowej zabawki. Miał futro w kolorze złamanej bieli, nie ciemnobrązowe. Zamiast żółtej kamizelki i spodenek w czerwone paski Mo nosił tandetne ogrodniczki z niebieskiego filcu i postrzępiony, dziurawy słomiany kapelusz. Ojciec Eve nazywał go Wioskowym Szympannikiem.

Cymbałki Wesolego Szympannika były z metalu, a Mo miał cymbałki z taniego, łamliwego plastiku. Przy włączeniu wydawały żałośnie głuchy odgłos, jak popsuty kierunkowskaz: tak-tak, tak-tak, tak. Przy pacnięciu w głowę

usta Mo otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały, odsłaniając zbyt wielkie zęby i krwście czerwone dziąsła. Większość ludzi uważała, że Mo jest upiorny, ale kiedy Eve była dzieckiem, właśnie on był jej najukochańszą zabawką. Może dlatego, że było jej go trochę żal, bo wszyscy go przezywali. W każdym razie mała Eve nie umiała zasnąć, jeśli nie trzymała go w ramionach.

Teraz, wiele lat później, Mo, Wioskowy Szympanik o rozbieganych oczkach, stał się głosem jej paranoi. Paranoi, która narastała, kiedy owa rodzinka stanęła stłoczona w holu tuż przy drzwiach wejściowych.

Kiedy już wejdą – wyszeptał Mo – *nigdy nie wyjdą.*

– Zaraz wracam – rzuciła Eve, ignorując absurdalne ostrzeżenie. Wymknęła się do salonu, wyjęła telefon i wybrała numer Charlie.

Po trzech sygnałach usłyszała:

– Halo?

– Cześć, Charlie, ja...

– Cześć. Tu Charlie. Zostaw wiadomość, jeśli chcesz.

Pojedynczy sygnał.

Eve prychnęła. Nie pierwszy raz dała się nabrać na ten durny żarcik. Charlie nagrała tę wiadomość na pocztce głosowej jeszcze w liceum, na długo przed tym, jak się poznały. W każdym razie pewnie ciągle była w mieście, kupowała procenty na wieczór i miała wyciszony telefon. Eve musiała więc całkiem sama odmówić rodzinie. Trzeba było to zrobić od razu. Czemu zawsze wszystko tak przeciągała? Przez to sytuacja stanie się tylko bardziej niezręczna. Może powinna ich okłamać, powiedzieć, że Charlie się nie zgodziła, ale...

Dobrowolny kontakt z tym, czego się boisz, to najlepszy sposób na przezwyciężenie strachu. Głos Charlie, racjonalna przeciwwaga głosu Mo, rozbrzmiał w głowie Eve.

Im częściej będziesz samodzielnie stawiała granice, tym łatwiejsze się to stanie.

Charlie, a raczej jej wyobrażona wersja, miała rację. Z nowo odkrytą determinacją Eve wyszła do holu. Ale kiedy ojciec rodziny podniósł na nią oczy z nadzieją, zawahała się i sięgnęła po kartę Charlie:

– Wie pan co, moja dziewczyna nie chce dzisiaj gości...

Ku niewielkiemu zaskoczeniu Eve nikt nie zareagował na słowo „dziewczyna”. Nawet nie mrugnęli. Niemal spodziewała się, że kobieta z krzyżykiem na szyi dostanie zadyszki z przerażenia i zasłoni dzieciom uszy, ale ona ani drgnęła.

– Przepraszam – ciągnęła Eve. – Po prosu ciągle mamy dużo do...

– Wszystko rozumiemy. – Ojciec rodziny podniósł ręce w geście kapitulacji. – To było zupełnie spontaniczne. – Sięgając do kieszeni płaszcza, wyciągnął wizytówkę. – Tu jest mój e-mail. – Podał Eve kartonik. – Jeśli będą panie gotowe, proszę do mnie napisać. Umówimy się z wyprzedzeniem, kiedy znów będziemy w okolicy, ale oczywiście nie ma przymusu.

Eve przyjrzała się wizytówce. Napisano na niej bładozieloną czcionką „Fotolaboratorium Fausta”. Poniżej widniało logo z niewielkim drzewkiem: połowa korony w liściach, połowa gałęzi naga.

Cofnął się o krok.

– Pewnie będziemy przejeżdżać za rok albo dwa. Ale naprawdę nie ma przymusu.

– Przepraszam – powtórzyła Eve. – To po prostu naprawdę nie najlepszy moment. Przepraszam.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie musi pani przepraszać. To my jesteśmy dziwakami, którzy pojawili się znieacka. – Odwrócił się do rodziny. – No dobra, kochani, wychodzimy.

Otwierając drzwi, wskazał im gestem werandę.

Kobieta wyglądała, jakby jej ulżyło. Chłopcy od początku nie za bardzo zwracali na cokolwiek uwagę. Ale twarzyczka córki coraz bardziej smutniała, jakby właśnie odmówiono jej wstępu do Disneylandu. Gdy reszta rodziny ruszyła na zewnątrz, ona ociągała się w drzwiach i zerknęła ku staremu domowi z tęsknotą w wielkich zielonych oczach...

– Jenny – ponagliła matka.

Dziewczynka zerknęła ostatni raz w stronę wnętrza, po czym wyszła i dołączyła do reszty. Eve stała w progu i patrzyła, jak powoli się oddalają. Z każdym ich kolejnym krokiem czuła się coraz bardziej winna. Za to, że użyła karty Charlie, że to wszystko przeciągała, że... miała poczucie winy.

– Zaczekajcie – zawołała niemal bezwiednie.

Ojciec rodziny zatrzymał się w pół kroku i obejrzał przez ramię.

Eve odchrząknęła.

– Piętnaście minut?

Skinął głową.

– Nie więcej.

DOC_A01_DOM

Opis: Ogłoszenie o nieruchomości na sprzedaż przy Heritage Lane 3709 - przedruk z nieistniejącej już strony www.seeking-home.net

Notatka: Uważa się, że Bank [utajniono] był posiadaczem domu w czasie, gdy zamieszczono ogłoszenie.

Dom to sanktuarium. Ten może się stać twoim.

Jedziesz krętym podjazdem wśród spokojnych drzew. Nie wiesz, czego się spodziewać, ale ta cisza jest kojąca, chłodne górskie powietrze działa leczniczo. Gdy pokonujesz ostatni zakręt, twoim oczom stopniowo ukazuje się dom i...

...wiesz, że poszukiwania dobiegły końca!

Właśnie tego szukasz. Dom przy Heritage Lane 3709, położony na prywatnej działce o powierzchni 2 hektarów to okazja jedna na milion.

4 sypialnie + 2,5 łazienki, ponad 250 metrów kwadratowych ponadczasowej wiktoriańskiej architektury (nie licząc niewykończonych piwnicy). Wyobraź sobie, że relaksujesz się na tej pięknej, okalającej cały budynek werandzie i oglądasz cudowne górskie pejzaże. Albo odpoczywasz przy ceglany kominku, przytulając kochaną osobę. To nieruchomość pełna wiekowej mądrości, a zarazem wigoru potrafiącego doścignąć zmieniające się czasy. A sama działka?

To ponad 2 hektary lasu do zwiedzania - górskie życie w najlepszym wydaniu. Zobacz naturalny staw w południowo-zachodnim krańcu, świetny na łyżwy zimą, albo wodospad w części północnej. Masz ochotę na dłuższą wycieczkę? Szlaki piesze rozciągają się po całej górze Kettle Creek. (W okolicy mnóstwo miejsc do polowania, wędkowania, jazdy na rowerze czy nartach biegowych; to także świetna inwestycja dla gospodarzy Airbnb czy kupców planujących odsprzedaż).

Ale nie martw się - cywilizacja jest bliżej, niż myślisz. Można się tu zaszyć bez odcinania się od świata. Wystarczy 30 minut jazdy samochodem, by dotrzeć do obrzeży Yale, a malownicza podróż do centrum miasta trwa godzinę i czterdzieści pięć minut*. Nie musisz już wybierać między zabawą w centrum a spokojem natury. Odpocznij od świata we własnej całorocznej bazie wypadowej albo zmień ją w swój stały dom!

UWAGA: Dom jest obecnie gotowy do zamieszkania**, jednak jest to także cudowna okazja do kreatywnej renowacji albo nawet całkowitego

wyburzenia. Wyobraź sobie, co można tu wybudować od zera!

* Bez korków / przy dobrej pogodzie

** Inspekcja budynku w planach

-.-. --.. .-.- --- .-- .. . -.-

ALEJĄ WSPOMNIENÍ

Eve stała przy schodach, patrząc, jak rodzina zdejmuje zimowe kurtki. Mężczyzna otworzył bez patrzenia szafę na płaszcze – ruch ten potwierdzał, że robił to już wielokrotnie. Drobiazg, który jednak nieco uspokoił Eve. *Przynajmniej nie kłamał, że się tu wychował.* Dzieciaki kolejno podawały mu swoje kurtki.

Tymczasem kobieta czekała przy wejściu, oglądając poplamione podłogi, ściany z zaciekami i sterty gratów. Bez zachwytu. Eve milczała, powstrzymując chęć usprawiedliwienia bałaganu, rzucenia czegoś w stylu: „Dopiero się wprowadziłyśmy” albo „Nawet pani nie wie, jak tu było fatalnie miesiąc temu”. Oba te stwierdzenia byłyby prawdą.

Na obronę Eve można powiedzieć, że w cikliwym ogłoszeniu nieco – odrobinę – przesadzono: dom nie był w stanie „gotowym do zamieszkania”. Gdy tu przybyły, wszędzie wałało się tyle starych gratów, że nawet ktoś cierpiący na manię zbieractwa czułby się przytłoczony. Razem z Charlie wyniosły już większość rzeczy, ale trochę

jeszcze zostało. Do tego ten kurz. Pokrywał grubą warstwą wszystko – ściany, podłogę, sufit. Jeśli chodziło o prace konserwacyjne, widać było, że bank robił tylko niezbędne minimum: ot, tyle, by dom się nie rozpadł, a może nawet mniej.

Za to – tak samo jak wszystkie wcale nienawiedzone domy na totalnym pustkowiu – nieruchomości sprzedawano za niesamowicie okazijną cenę. Wymagała pracy, ale Eve i Charlie właśnie tym się zajmowały: odnawiały stare domy i sprzedawały je z zyskiem. Zwykle na projekt poświęcały od trzech do sześciu miesięcy, ale tu do zrobienia było tyle, że potrzebowały co najmniej roku – a gdyby zdecydowały się na wyburzenie, to znacznie więcej. W normalnych warunkach wiedziałyby o tym przed zakupem, ale okazja była po prostu za dobra, żeby ją przepuścić. Poza tym sama działka za rok miała być warta o wiele więcej niż teraz.

Mimo to Eve dość mocno się wahała, zanim się zdecydowały. Zwykle działały na Wschodnim Wybrzeżu, bliżej przyjaciół i rodziny, a dom przy Heritage Lane 3709 mieścił się daleko na północ na Zachodnim Wybrzeżu, w głębi Oregonu. Krajobraz był, owszem, ładny, ale takie odosobnienie wydawało się – nawet dla introwertycznej Eve – trochę przytłaczające. Zanim podpisały papiery, poruszyła tę kwestię z Charlie:

– A jeżeli coś tam pójdzie źle? Najbliższy szpital jest przecież oddalony o dwie godziny jazdy!

Charlie przyznała, że ma podobne obawy, ale na poprzedniej nieruchomości zarobiły niewiele, więc potrzebowały pieniędzy.

– Nie chcę, żebyś panikowała, ale jeśli chodzi o pieniądze... – Charlie zamilkła na chwilę – ledwie utrzymujemy się na powierzchni.

Wspaniale. Metafora nawiązująca do tonięcia. Eve niemal widziała bezkres wody, finansową katastrofę wynurzającą się z błękitnoczarnej otchłani, obejmującą szponiastymi paluchami jej kostkę, wciągającą w głębiny i...

- Tak przy okazji, jestem Thomas.

Głos ojca rodziny, wyciągającego do niej rękę, przywrócił ją do rzeczywistości.

- ...Eve - odpowiedziała, ciągle na wpół zatopiona w rozmyślaniach.

Podali sobie dłonie. Jego uścisk był mocny, co wcale jej nie zdziwiło.

Cofnął się i wskazał na żonę.

- To jest Paige.

Paige uśmiechnęła się blado.

- Miło panią poznać.

- Wzajemnie - odparła Eve.

Wskazał na córkę.

- To Jenny, Inkwizytorka.

Jenny dygnęła, a Eve, nie mogąc się powstrzymać, odpowiedziała tym samym.

Thomas ciągnął:

- Chłopaków może pani nazywać Utrapienie Jeden i Utrapienie Dwa. Albo, jeśli pani zależy, Newton i Kai. - Thomas wskazał na wysokiego niebieskookiego blondyna. - Kai to ten zarozumiały podrzutek losu.

Paige się zjeżyła.

- Nie używajmy tego słowa.

Thomas zerknął przez ramię.

- Podrzutek?

Zgromiła go wzrokiem, niemal przecinając go nim na pół.

- Mhm.

- A co to znaczy? - wtrąciła się Jenny, szykując notatnik z obrazkiem z bajki.

Zapisała już słowo wielkimi literami: „PODŻUTEK”.

– Wykreśl je. – Thomas powstrzymał śmiech. – To brzydkie słowo. No, już.

Jenny zmarszczyła brwi i równocześnie nos – robiąc minę, której jeszcze do końca nie opanowała.

– Dlaczego?

Thomas pochylił się do przodu, wziął od niej długopis i sam je zamazał.

– Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza.

Kai, z rękami w kieszeniach bluzy z logo Portland Winterhawks, przewrócił oczami, jakby na potwierdzenie dowcipnej uwagi ojca. Eve nie potrafiła otrząsnąć się ze skojarzenia z pompatycznym księciem. Chłopak jakimś cudem równocześnie wyglądał na zadowolonego z siebie i znużonego, jakby zaciągnięto go na urodziny klasowego pośmiewiska. Jasne, nie powinno się oceniać nikogo po twarzy, ale...

Drugi chłopiec tupnął nogą o parkiet, jakby w nerwowym odruchu. Rudowłosey, w okrągłych okularach, z orzechowymi oczami, był niemal pod każdym względem przeciwieństwem brata. Piegowaty, drobny, ruchliwy, wydawał się nadmiernie zestresowany. Neurotyczny. Było to wpisane w jego postawę: garbił się jak pracownik biurowy w średnim wieku. Zdawał się zupełnie nie pasować do tej rodziny, jakby był przypadkowym dzieciakiem zgarniętym z pobocza. Ale ponieważ roztaczał aurę mówiącą „wszystko mnie stresuje”, Eve najłatwiej było się z nim utożsamić. Jakżeby inaczej.

Gdy Thomas się rozglądał, w pomieszczeniu zaległa niezręczna cisza – właściwa dla chwil, kiedy nikt nie wie do końca, co powinien powiedzieć. Trwało to trzy, cztery, pięć sekund, aż mężczyzna odchrząknął i wskazał na strop.

– Kiedyś wisiał tutaj żyrandol.

Wszyscy zadarli głowy. Sklepiiony sufit był goły, pomijając pojedynczy mosiężny łańcuch zwisający pośrodku.

– Mój tata sam go założył. Był zrobiony w całości z poroży jeleni. – Thomas zerknął na Eve. – Był tu, kiedy się pani wprowadziła?

Potrząsnęła głową przecząco. Właściwie była to prawda. Przyprawiający o dreszcz żyrandol z poroży nie był tutaj, kiedy się wprowadziły – leżał w salonie, zakopany pod stertą gratów. Charlie sprzedała go tydzień wcześniej na Craigslist.

Thomas przyglądał się Eve, jakby wiedział, że kłamie, ale mu to nie przeszkadzało.

– Ojciec zabił wszystkie te zwierzęta – rzucił z westchnieniem. – Dwadzieścia parę jeleni.

– O rany – skomentowała Eve. – Imponujące.

Thomas potarł policzek.

– Można to i tak nazwać.

Gdy mu się teraz przyjrzała, dotarło do niej, że jest nieco starszy, niż z początku sądziła. W jaśniejszym świetle bruzdy pozostawione przez czas na jego twarzy stały się bardziej widoczne. Skórę przecinały linie. Skronie przyprószone były siwizną. Upływ lat był jednak najbardziej dostrzegalny w jego spojrzeniu: męczący ciężar skrywanej wiedzy, która przychodzi tylko z wiekiem. Takie oczy widziały opuszczaną do ziemi trumnę o jeden raz za dużo.

Zaczął mówić coś do rodziny, oglądając się przez ramię. Eve zobaczyła teraz konstelację bliznowatych kropek na jego lewym policzku, oświetloną światłem z góry. Różowe plamki. I jeszcze kilka na szyi. Tak subtelne, że można by je pomylić ze zwykłymi pryszczami. Eve nie była ekspertką, ale mogły to być zaleczone poparzenia.

Pomimo tego wszystkiego, a może ze względu na to, wciąż mógłby uchodzić za klasycznego hollywoodzkiego

gwiazdora. Szerokie ramiona, doleczki w policzkach przy uśmiechu – Eve widziała go w głównej roli, jak podaje ogień *femme fatale*, która weszła do jego gabinetu. Miał w sobie coś z Cary’ego Granta.

Przeciągły pisk przykuł uwagę wszystkich. Odgłos wydał pies Eve, siedzący u szczytu schodów i zerkający przez balustradę. Czujny.

Jenny wskazała go palcem.

– O, pies.

– Zgadza się – powiedział Thomas, znowu tłumiąc śmiech. Odwrócił się do Eve. – Jaka to rasa?

Eve wzruszyła ramionami.

– Border collie – powiedziała – z domieszką różnych innych.

– Świetna rasa – odparł Thomas. – Sam miałem jako dzieciak czekoladowego labradora.

Córka włączyła się do rozmowy, niemal krzycząc:

– Jak się nazywa?

– Pies?

– Ta-ak – odparła, zmieniając słowo w dwie sylaby. Wciąż miała przygotowany notes i długopis, niczym nadgorliwa reporterka polująca na gorący temat.

Eve uśmiechnęła się do niej.

– Shylo.

– Jak to się pisze? – znowu niemal krzyknęła.

– Jenny – zwróciła uwagę Paige. – Ona stoi tuż obok. Nie musisz wrzeszczeć.

– Jak to się pisze? – powtórzyła dziewczynka odrobinę ciszej.

– Shylo – odpowiedziała Eve. – S-H-Y-L-O.

Jenny zrobiła notatkę zielonym długopisem i skinęła głową. Shylo oderwała się od podłogi i zniknęła w korytarzu na górze.

- Trochę się boi obcych, ale jest nieszkodliwa – wyjaśniła Eve.

- Strachliwa Shylo – skomentowała dziewczynka.

Eve potaknęła.

Suczka tak samo jak ona nigdy nie ufała obcym i miała ku temu powód. Jakieś cztery lata wcześniej Eve znalazła ją skuloną za stacją benzynową przy autostradzie, porzuconą i bliską śmierci z wyziębienia.

Szczeniak rasy mieszanej z czarnym futrem i białą plamą na klatce piersiowej. Nad lewym okiem miała nierówny biały diament. Nigdy nie dorosła do swoich dużych spiczastych uszu – prawe sterczało do góry, a lewe zabawnie opadało do przodu. Każde z jej oczu miało inny kolor: jedno było bladoniebieskie, a drugie ciemnobrązowe. Specjalistyczna nazwa tej cechy to heterochromia. Charlie też miała tę przypadłość. Mawiała, że to oczy czarownicy. Wyglądało na to, że niektóre środowiska w kościele uważały różnokolorowe oczy za klątwę. Jej partnerka stwierdziła kiedyś:

- Jeśli czegoś nie rozumiesz, to znaczy, że to czary.

Gdy Eve sprowadziła biedną psinę do domu, zdobycie jej zaufania wymagało wielu tygodni. Przez długi czas Shylo czuła się bezpiecznie tylko przy Eve. Kiedy zbliżał się ktokolwiek inny – nawet Charlie – zaczynała drżeć ze strachu. Zupełnie jakby miała ograniczone zasoby zaufania i całe oddała Eve.

Ale Charlie była zdeterminowana. Kładła na podłodze psi przysmak, robiła dziesięć kroków do tyłu i pozwalała Shylo zjeść. Za każdym razem skracala dystans, centymetr po centymetrze. Zajęło to wiele miesięcy, ale w końcu Shylo potrafiła znieść obecność Charlie przycupniętej w odstępnie półtora metra, metra, pół. Po paru kolejnych tygodniach Charlie mogła nawet podrapać Shylo za

uchem. Teraz, cztery lata później, obie kobiety były jedy-
nymi osobami na świecie, którym suczka ufała.

Thomas przesunął się w kierunku schodów.

– To też zamontował mój ojciec – powiedział, przesu-
wając dłonią po lakierowanej dębowej balustradzie.

Jenny szła za nim i notowała coś za każdym razem, gdy
się odezwał. Było oczywiste, że ojciec jest dla niej całym
światem, superbohaterem. Eve знаła to spojrzenie.

Thomas zerknął na kurz na opuszkach palców.

– Czyli chcecie wyremontować dom?

– No, tak, taki jest plan.

Nie miała serca im powiedzieć, że rozważają wyburze-
nie. W końcu ten człowiek się tutaj wychował. Poza tym
czuła, że zniszczenie tak wiekowego budynku byłoby nie-
miał niemoralne – inspektor budowlany określił jednak stan
fundamentów jako fatalny, znalazł uszkodzenia od wody
w belkach montażowych i wiele innych bolączek. Czasami
łatwiej jest wszystko zburzyć i zacząć od nowa.

– Taka renowacja to będzie wyzwanie – stwierdził Tho-
mas. – Może mam gdzieś w schowku jakieś stare projekty,
jeśli by to panią interesowało.

– Tak, byłoby wspaniale.

Interesowało ją to, choćby dlatego, że bank zgubił więk-
szość oryginalnej dokumentacji. Ponoć wiele dziesięcio-
leci temu w ratuszu wybuchł pożar. Niemal wszystko, co
związane z domem, od jego powstania po kolejnych wła-
ścicieli, pozostawało tajemnicą. Bank wspominał o nieja-
snościach dotyczących prawa własności.

– Ma pani moją wizytówkę – powiedział mężczyzna. –
Proszę do mnie napisać, kiedy pani będzie chciała, pode-
ślę skany.

Thomas wyciągnął z tylnej kieszeni białą prostokątną
puszeczka. Pchnął jej wieko kciukiem i potrząsnął nad

dłonią. Wypadły dwie, może trzy miętówki. Jednym krótkim ruchem wrzucił je do ust i wsunął pudeleczek z powrotem do kieszeni.

To nie były miętówki, skomentował Mo, stale obecny głos paranoi w głowie Eve. Tym razem Wioskowy Szympanik mógł mieć rację. Eve widziała je tylko przez ułamek sekundy, mgliste wrażenie już blakło. Ale pastylki, które połknął przed chwilą Thomas, miały bladopomarańczowy odcień typowy dla leków. Była niemal pewna, że widziała wytłoczone pośrodku każdej tabletki linie. Może to jakieś środki przeciwlękowe. Seroquel? Tak czy owak nie zamierzała go osądzać, sama przyjmowała kiedyś SSRI. Nigdy jednak nie udawała, że to miętówki.

Jenny, podnosząc wzrok na ojca, pociągnęła go za koszulę – trzy krótkie szarpnięcia.

Kiedy opuścił wzrok, wyciągnęła otwartą dłoń i zatrzepotała okalającymi zielone oczy rzęsami. Thomas potrząsnął głową.

– Nie są słodkie – powiedział. – Są pikantne, nie dla dzieci.

Odsunął dłoń Jenny, zrobił parę kroków do przodu i popatrzył pod nogi.

– To spora zmiana – stwierdził, ogarniając spojrzeniem parkiet. – Kiedyś były tu czarno-białe płytki, jak w jadłodajni.

Stuknął obcasem.

– Drewno dużo lepiej pasuje.

Kucnął i stuknął parę razy w deski.

– Hmm. A to ciekawe – rzucił jakby do siebie, zamysłony.

Gestem zachęcił pozostałych, by podeszli.

– Zobaczcie.

Jenny i rudy chłopiec – Newton? – zbliżyli się jako jedyni. Paige i Kai wyglądali, jakby mieli ochotę już iść.

Thomas wskazał dwójce zerkających mu przez ramię dzieci miejsce na podłodze.

– Tutaj – powiedział. – Między szczelinami widać stare płytki.

Eve zmrużyła oczy, pochyliła się i rzeczywiście – gdy spojrzano się pod właściwym kątem, widać było paseczek od dawna zasłoniętej podłogi. Czarno-białych płytek. Thomas zaczął wstawać, ale zatrzymał się, gdy jego wzrok spoczął na czymś innym – białej listwie przypodłogowej. Była rzeźbiona w misterny wzór: abstrakcyjne kwiaty i konie. Ornament kwiatowy był dość ładny, ale konie, gdy przeszło się bliżej, okazywały się grubo ciosane i nieproporcjonalne.

– Moja matka je wyrzeźbiła – skomentował Thomas, wyciągając ku nim dłoń. – Niemal pół roku zajęło jej zrobienie listew do całego domu.

Zerknął na Eve, jakby oczekując reakcji.

– Ojej – rzuciła. – to... bardzo dużo pracy, ale... Bardzo ładnie.

Thomas prychnął cicho, nieprzekonany komplementem.

– Nie musi ich pani zostawiać. – Odwrócił się i zajrzał pod balustradę. – A tak, niemal zapomniałem o tym...

Eve pochyliła się, by zobaczyć, o czym mówi. Po spodniej stronie balustrady wyciosano dziwny kształt. Koło, podzielone liniami o różnych długościach spotykającymi się w środku. Wyglądało tajemniczo, niczym prawdziwy symbol.

– To dzieło mojej siostry – wyjaśnił Thomas. – Znajdzie pani tego więcej w różnych miejscach w domu, a może już pani znalazła. Siostra zawsze ukrywała wszędzie małe wiadomości. Niezłą miała wyobraźnię...

To symbol kultu śmierci – wtrącił Mo, małą z cymbalkami. – *Ta rodzina to wyznawcy demonicznego kultu,*

wracają tu, żeby dokończyć jakiś rytuał i... – Eve zignorowała tę erupcję bezsensownej paranoi.

Thomas westchnął i odezwał się do dzieci, wciąż wpatrzony w symbol:

– Ciocia mówiła, że ten znak odpędza pecha. Dziadek mawiał, że wygląda na bluźnierstwo. – Zerknął na Jenny i powiedział: – Tutaj.

Wyciągnął rękę. Podekscytowana podała mu swój notatnik i długopis. Znalazł niezapisaną stronę i przycisnął płasko do spodu balustrady. Odrysował symbol. W tym czasie Jenny patrzyła jak zahipnotyzowana, z szeroko otwartymi oczami. Kiedy skończył, oddał jej notes.

– Proszę – powiedział. – Szczęście na siedem lat. Albo zmienisz się w czarownicę.

– Thomas – upomniała go Paige.

– No tak – odparł. – Czarownice są złe.

Żona rzuciła mu kolejne krytyczne spojrzenie. Przypomniało ono Eve, jak jej rodzice odkryli, że bawiła się planszą ouija podczas nocowanki. Z demonami lepiej nie ryzykować.

– Ale wracając... – Thomas wstał. – Możemy pójść na górę?

*

Przybysze błąkali się po korytarzu na piętrze, a Eve szła za nimi.

Była nawet ciekawa kolejnych anegdot Thomasa. Shylo też ruszyła za gośćmi, ale trzymała się w bezpiecznej odległości. Nie ma co ufać obcym.

– W tym pokoju była niebieska tapeta – powiedział Thomas, wskazując na sypialnię gościnną z zielonymi ścianami. – Mama pracowała tu nad swoimi obrazami...

- Babcia – poprawiła go Paige.

Thomas przez dłuższą chwilę się w nią wpatrywał, a potem odwrócił wzrok.

- Wasza babcia pracowała tutaj nad obrazami.

- Babcia była malarką? – zapytała Jenny.

Thomas przekrzywił głowę.

- Nie nazwałbym jej taką prawdziwą malarką. Traktowała to jako hobby.

- A co to takiego?

- Hobby?

- No.

- To coś, co się robi dla przyjemności, na przykład tak jak ja gram na gitarze.

Jenny znowu to zanotowała.

Gdy przeszedł do kolejnego pokoju, wszyscy ruszyli za nim. Otworzył ciężkie dębowe drzwi, odsłaniając długi gabinet. Puste półki na książki ciągnęły się wzdłuż obu bocznych ścian. Naprzeciw drzwi było małe witrażowe okno. Szkło o intensywnych barwach przedstawiało powyginaną jabłoń. Ciemnozielone liście, krwistoczerwone jabłka. Wychodziło na las za domem, widok przyprawiał o klaustrofobię – sosny czaiły się tak blisko, jakby zagłądały do środka, szpiegowały.

- To był gabinet waszego dziadka – powiedział Thomas. - Zaszywał się tu na całe godziny i pracował.

- Nad jakimś hobby? – zapytała Jenny.

Thomas potrząsnął głową i spojrzał na nią.

- Dziadek nie lubił hobby.

To proste zdanie sprawiło, że w głowie Eve pojawił się wyrazisty obraz. Żyłasty siwowłosy mężczyzna ze spiczastą brodą i zmęczonymi oczami, które nie znały snu. Mężczyzna, który nie czerpał z życia przyjemności i pilnował, by inni też jej nie czerpali. Nemezis dobrej zabawy.

Właśnie wtedy dostrzegła coś kątem oka. Obaj chłopcy stali kawałek dalej na korytarzu naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy, jakby założyli się, kto dłużej wytrzyma. Nagle Kai spoliczkował Newtona – rozległo się donośne PLASK. Uderzenie zostawiło jasnoczerwony ślad na bladym policzku dzieciaka. *Chyba przegrał.*

– Chłopcy – warknęła Paige.

Obaj stanęli na baczność. Matka gestem nakazała im podejść.

– Trzymajcie się blisko nas.

Dołączyli z powrotem do grupki.

Gdy rodzice nie patrzyli, Newton zaczął pocierać zaczerwieniony policzek. Kai zerknął na niego z góry, posłał mu przesłodzony uśmiech i potargał rudą czuprynę. Newton nic nie zrobił, by się obronić, po prostu stał w miejscu, z każdą chwilą coraz bardziej pokonany. Biedak.

– To okno. – Thomas wskazał na witraż. – Ja... Nie pamiętam, żeby było w tym pokoju. – Podrapał się po skroni. – Myślałem, że było w przedniej części domu.

Po chwili milczenia dodał:

– Zabawne... że wspomnienia tak się zmieniają.

Odwrócił się i ruszył dalej korytarzem. Nagle się zatrzymał, obejrzał przez ramię i uniósł brew. Wpatrywał się w żółtą tapetę, jakby zbity z tropu.

– Co się stało z głuchym pomocnikiem? – Zerknął na Eve.

– Słucham?

– Tutaj były drzwiczki głuchego pomocnika – powiedział, opierając dłoń na ścianie. – Szyb biegł aż do piwnicy. Zaczął przesuwać dłonią w dół.

– Aha... – odparła Eve. – Kto to wie?

Jego palce coś napotkały. Coś pod tapetą.

Zmrużył oczy i się pochylił – to było owalne wybrzuszenie. Uchwyt?

– Hmm. Chyba ktoś go zasłonił.

Eve zdawało się, że w jego głosie pobrzmiewa napięcie. Jakieś drżenie wydobywające się z głębi, tak subtelne, że mogło być tylko złudzeniem.

Jenny, wciąż u boku Thomasa, zapytała znowu:

– Co to jest?

Odsunął się i spojrzał na nią z góry.

– Pytasz o głuchego pomocnika?

– Mhm.

– To taka miniaturowa winda – wyjaśnił. – Woziliśmy nią pranie, narzędzia, jedzenie. Jeśli ktoś zachorował, można było posłać posiłek na górę bez zbliżania się.

– Dlaczego?

– Jeśli człowiek się zbliżył do chorego, też mógł się rozchorować – wyjaśnił Thomas.

Jenny to zanotowała.

– Dlaczego tak to się nazywa?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem.

Eve, na wpół do siebie, rzuciła:

– Bo to pomocnik, który jest cicho...

Wszyscy na nią spojrzeli.

Trochę zażenowana rozwinęła myśl:

– Pomaga w dostarczeniu jedzenia i...

– Nic nie słyszy? – wtrącił się Kai.

Eve potrząsnęła głową.

– „Głuchy” oznacza także pozbawiony dźwięku. To milczący pomocnik.

To Charlie zwróciła kiedyś na to jej uwagę. Była chodzącą encyklopedią dziwnych ciekawostek.

– Hmm – skomentował Thomas. – Ciekawe.

Jenny dokończyła pisanie, a potem odwróciła się do Eve.

– Dziękuję, Emmo – powiedziała.

Thomas zmarszczył brew.

– Ta pani ma na imię Eve, prawda?

Eve skinęła głową.

– Tak, ale nie szkodzi.

Gdyby nic nie powiedział, nawet by nie zaprotestowała, jej imię na czas wizyty tej rodziny brzmiałoby „Emma”.

– No nic.

Thomas poszedł dalej korytarzem, aż w końcu stanął naprzeciw długiego białego sznurka zwisającego z sufitu. Pozwalał on opuścić schody prowadzące na poddasze. Dmuchnął na niego szybko, jakby zdmuchiwał świeczkę na torcie. Sznur zaczął się kiwać jak metronom.

– Prowadzi na strych – rzucił – ale gdy widziało się w życiu jeden strych, to tak, jakby widziało się wszystkie.

Eve i Charlie mieszkały tu od dwóch miesięcy i Eve jeszcze się tam nie zapuściła, choćby po to, by zerknąć. Nie lubiła ciemnych miejsc, wilgoci ani pajęczyn.

Thomas skręcił za róg i znowu się zatrzymał. Tu był ostatni zakamarek. Miał jakieś półtora metra i kończył się prostymi białymi drzwiami. Mężczyzna przyglądał im się, jakby były melancholijnym obrazem. Z wahaniem postąpił naprzód i wyciągnął rękę.

– Tu był pokój cioci Alison. – Zaciskając dłoń na gałce drzwi, zamarł na krótki moment, a potem się odsunął.

Wyczuwając, że to intymna chwila, Eve odchrząknęła.

– No dobrze – powiedziała. – Możecie państwo dalej zwiedzać. – Uznała już wtedy, że pewnie jej nie okradną. – Będę na dole, gdybyście czegoś potrzebowali – dodała.

Thomas uśmiechnął się z wdzięcznością.

*

Eve wróciła do tego, co robiła wcześniej – wyciągania zardzewiałych gwoździ znad kominka w salonie. Na gwoździach wisiały kiedyś ramki, na co wskazywały jasne prostokąty pozostałe na ścianie. Ale były ułożone asymetrycznie, trochę za bardzo na prawo. Właśnie kończyła pracę, kiedy za jej plecami zaskomliła Shylo. Eve obejrzała się. Suczka stała na środku pokoju, zeszywniała, z uniesionymi uszami i wpatrywała się w zamknięte drzwi. W drzwi do piwnicy.

– Shylo...?

Bez reakcji.

Jeszcze bardziej niż strychów Eve nie lubiła piwnic. Zapuściła się na dół tylko raz, a nawet wtedy jedynie zeszła po schodach i szybko się rozejrzała. Było mniej więcej tak, jak się spodziewała: ciasne niewykończone korytarze, zakamarki i niskie stropy. Dość powszechny widok w starych domach takich jak ten.

Kiedy była mała, dzięki swojej nadaktywnej wyobraźni niemal wierzyła, że w każdej piwnicy czai się coś złego. Stało się to powodem koszmarów. Nienazwanego lęku. Zawsze czającego się poza zasięgiem, milczącego, pozbawionego twarzy i tak potwornego, że nie dało się go opisać. Nieważne, jaka to była piwnica, jaki dom – uczucie pozostawało niezmiennie. Jakby niewypowiedziany lęk mógł się mnożyć przez podział we wszystkich piwnicach świata.

Na szczęście z czasem te dziecinne obawy zbladły, niczym jaskrawa zabawka porzucona na spalonej słońcem pustyni. Podobnie jednak jak wszystkie potwory z dzieciństwa, zostały zastąpione przez bardziej banalne, i może nawet gorsze, lęki dorosłości: dług na karcie kredytowej, wypadki samochodowe, śmierć bliskich. Rzeczy, które sprawiały, że Eve czasem wracała myślami do wyobrażonych zjaw z tkliwą nostalgią.

Pomimo upływu lat jej niechęć do piwnic nie mijala – pozostał też jeden aspekt dzieciennych strachów: wchodzenie na górę po piwnicznych schodach. Do dziś za każdym razem, gdy to robiła, przypominała sobie to bezimienne coś skryte w głębi na wpół zatartych wspomnień. Towarzyszyło jej uporczywe wrażenie, że to coś za nią idzie, nie mogła się otrząsnąć z dreszczy, coraz mocniejszych wraz z każdym krokiem ku górze. Niemal to czuła, niemal słyszała – wyłaniające się z ciemności poniżej, dyszące u jej nóg, napawające się złymi intencjami.

Wciąż musiała walczyć z chęcią, by pobiec, uciec przed tym wyobrażeniem. Oczywiście w dziewięciu przypadkach na dziesięć umiała spokojnym, powolnym krokiem wyjść z piwnicy jak każdy rozsądny dorosły. Ale gdy tylko zostawiała cień za sobą, nie umiała się oprzeć chęci zerknięcia w dół, by utwierdzić się w przekonaniu, że niczego tam nie ma.

Pies dalej skomlał... pomarańczowy poblask ognia tańczył na jego czarnym futrze.

– Shylo?

Eve spróbowała znowu.

Ale Shylo nie obejrzała się; dalej wpatrywała się w drzwi piwnicy. Kobieta odłożyła młotek i podeszła. Uklękła i podrapała suczkę za uszami. Shylo drżała, Eve poczuła pod dłonią trzęsące się ciało.

Przysunęła się bliżej.

– Co się dzieje, mała?

Spojrzenie Shylo powędrowało ku górze, jakby śledziła powoli unoszący się przedmiot – nie było tam niczego, tylko drzwi piwnicy.

– Shylo? – powtórzyła Eve, ale nie doczekała się reakcji.

Pies zastygł z oczami wbitymi w pustą przestrzeń.

Eve, niespokojna, podniosła się i wyciągnęła klucze. Bez zastanowienia zamknęła drzwi do piwnicy i...

W końcu to zobaczyła. Czarna kropka wspinająca się po framudze. Zmrużyła oczy. To była tylko zwykła mrówka. Eve westchnęła z zażenowaniem i ulgą – choć może się to wydawać dziwne, Shylo nie przepadała za robalami. Mrówka weszła w szczelinę obok drzwi, a pies się rozluźnił. Eve potrząsnęła głową.

– Shylo – westchnęła. – Nie strasz mnie tak.

Pies podniósł na nią swoje dwukolorowe oczy i mrugnął bez zrozumienia. Eve nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wyciągnęła rękę, znów podrapała Shylo za uchem i wróciła do pracy.

Gdy wyciągała ostatni gwóźdź, do salonu wmaszerowała rodzinka. Thomas wskazał na kominek.

– Wygląda tak, jak go zapamiętałem – powiedział. – Zimą codziennie paliliśmy ogień.

Ruszył do drzwi piwnicy i położył dłoń na framudze.

– Babcia i dziadek mierzyli tutaj nasz wzrost. – Przesunął dłoń po gładkiej białej powierzchni. – Ale teraz oznaczenia są już zamalowane.

Nacisnął klamkę. Zamknięte. Zerkając na Eve, zapytał:

– Czy możemy zwiedzić piwnicę?

Zawahała się. Byli tu już zdecydowanie dłużej niż obiecały piętnaście minut.

– Ach, no, na dole jest porozkładanych mnóstwo narzędzi – wyjaśniła, nieco koloryzując. – Jest trochę niebezpiecznie...

Jenny wtrąciła:

– Nie boję się niebezpieczeństw.

Eve zmusiła się do uśmiechu. Odłożyła młotek na stolik.

– Światła też jeszcze nie działają – powiedziała. – Coś się stało z wyłącznikiem obwodu i...

- Dlatego zabrałam to.

Jenny dwa razy wcisnęła przycisk na zielonym długopisie. Rzucił teraz na podłogę biały krąg światła z ledowej żarówki. Zaczęła nim kręcić niczym szalony czarnoksiężnik różdżką.

- Jest tak jasna, że widać ją z Plutona...

- Jenny. - Thomas położył rękę na drobnym ramieniu córki. - Pani woli, żebyśmy nie wchodzili do piwnicy, jasne?

Jenny, wyraźnie przybita, skinęła głową, wyłączyła długopis i go schowała.

Thomas rzucił okiem na pobliski zegar.

- No dobrze, kochani - powiedział - wynośmy się stąd, teraz już naprawdę.

Jenny pociągnęła go za koszulę.

- Ale ciągle jest jeszcze więcej domu do obejrzenia.

Thomas potrząsnął głową.

- Zostaliśmy tu znacznie dłużej, niż się umawialiśmy, słonko.

Gestem popędził rodzinę w stronę holu. Ale gdy wychodzili, sam został z tyłu, z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w drzwi piwnicy.

Eve podreptała do pobliskiej kuchni i zaczęła zmywać naczynia, które nie wymagały mycia. Thomas na nią spojrział.

- Dziękujemy, że pozwoliła nam się pani rozejrzeć - powiedział. - To wiele znaczyło dla mojej rodziny.

Jeśli pominąć Jenny, można było odnieść wrażenie, że nic to dla nich nie znaczyło, ale Eve nie powiedziała tego głośno. Nie patrząc na mężczyznę, podniosła drucianą myjkę i zaczęła szorować czyściutką patelnię.

- Nie ma sprawy - powiedziała.

Thomas podszedł bliżej i ostatni raz się rozejrzył.

- Fajnie tak chyba, co?

Eve podniosła wzrok.

– Słucham?

Zatrzymał się w progu dzielącym kuchnię od salonu.

– Przeprowadzić się do nowego miejsca, odnowić je, zadomowić się w nim.

– Ach, tak.

Eve posłała mu blady uśmiech. Ją i Charlie sporo przecież dzieliło od zadomowienia się, ale i tego nie powiedziała głośno. Chciała już zostać sama.

– W każdym razie bardzo miło było państwa poznać – podsumowała, sugerując delikatnie, że to koniec rozmowy.

Thomas nadal jednak stał na granicy jej pola widzenia. Wiercił się, jakby zbierał się na odwagę, żeby o coś zapytać. *Proszę, nie*. Zerknął w kierunku holu, upewnił się, że rodzina go nie usłyszy. Znow odwrócił się do Eve i ściszył głos.

– Wiem, że dopiero się pani wprowadziła, ale... – Zamilkł na chwilę, z wahaniem, zażenowany. – Czy zauważyła pani coś...

Przerwało mu jakieś zamieszanie. Jeden z chłopców krzyczał:

– PRZESTAŃ.

Thomas ruszył do holu. Eve poszła za nim.

Przy drzwiach chłopcy się bili, a Paige próbowała ich rozdzielić. Thomas bez wahania do nich podszedł i szarpnął, odsuwając jednego od drugiego.

– To Newton zaczął – jęknął Kai.

– No jasne... – Thomas zamilkł i zaczął się rozglądać. – Gdzie Jenny? – zapytał.

Wszyscy powiedli wzrokiem dookoła – dziewczynki nigdzie nie było widać.

– Dopiero co tu była – zająknęła się Paige.

– Jenny! – zawołał ojciec tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Bez odpowiedzi. Słysząc było tylko tik, tik, tik pobliskiego zegara.

– Jenny! – spróbowała teraz Paige.

Nic.

Pocierając skronie, Thomas odwrócił się do Eve.

– Nasze najmłodsze dziecko... – westchnął – lubi się ukrywać.

– Ukrywać?

– Taka spontaniczna zabawa w chowanego – wyjaśnił. – Myśleliśmy, że z tego wyrosła, ale...

– Jennifer! – krzyknęła za jego plecami Paige.

On kontynuował:

– Pewnie dość łatwo ją znajdziemy... Bardzo panią przepraszam.

– Nic... nic nie szkodzi – powiedziała Eve.

Thomas odwrócił się, ledwie hamując gniew w głosie.

– Jenny, wychodź.

Gdy rodzina zaczęła poszukiwania, Eve podeszła do okienka przy drzwiach. Zaczął padać śnieg, po raz pierwszy tego roku. Zwykle widok ten napełniłby Eve rozrzewnieniem i ciepłem, ale dzisiaj ją zaniepokoił. Gdzie podziewała się Charlie? Czy na drogach było bezpiecznie? Zerknęła na zegarek: 8.57. Tylko dwadzieścia minut spóźnienia. Ale Eve i tak sięgnęła po telefon, kiedy...

Gdzieś w lesie błysnęło światło. Eve zatrzymała się i zmrużyła oczy. Bładoniebieski punkcik jarzył się daleko wśród czerni – wydawał się ku niej zbliżać. Latarka? Kto by tam wyszedł o tej porze, zwłaszcza w mróz?

Jenny?

Nie, to za daleko, ale... Eve podeszła do okienka. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do mroku, rozmyty obraz się wyostrzył. Światło się nie poruszało; ruch był tylko złudzeniem wywołanym przez spadający śnieg. Światło na

czyimś ganku? Zaparkowany samochód? Czy gdzieś tam była droga? Przez drzewa trudno było ocenić dokładną odległość. Nagle światło zgasło i ciemność wróciła.

Nad sobą Eve znów usłyszała zamieszanie. Stłumione głosy.

Pobiegła na górę. Rodzina stała na środku korytarza, ściśnięta w ciasny krąg, i czemuś się przyglądała. Eve zbliżyła się i zerknęła przez ramię Paige. Tapetę, która wcześniej zasłaniała windę towarową, zerwano, jej fragment luźno zwisał. Metalowe drzwiczki były uchylone, za nimi ziała dziura z rurami i belkami oraz czerwono-różową izolacją. Wózka nie było.

Thomas pochylił się i zawołał:

– Jenny?

W odpowiedzi rozległo się tylko echo jego głosu. Rozdrażniony prychnął i odwrócił się do pozostałych.

– Chyba jednak znalazła drogę do piwnicy.